[*Druk: „Przewodnik Katolicki” 4(1929), s. 50-52.*]

Na arabskim weselu

(Wspomnienia z pielgrzymki do Egiptu)

Było to w Kairze, stolicy Egiptu. Idziemy ulicą Szariah Kasr el Nil. Nagle słychać odgłos muzyki arabskiej. Idziemy w kierunku, skąd nas dochodzą jej dźwięki. Stajemy wreszcie przed wylotem małej uliczki. Przy wejściu rozwieszono girlandy. Pełno tam też chorągiewek i barwnych lampionów. Pytamy się przechodniów, co tam się odbywa.

- Tam dziś wesele, sidi - odpowiada nam jakiś grzeczny młodzieniec.

Naradzamy się. Postanawiamy wejść bez zaproszenia. Trzeba wszystko zobaczyć. Chyba nas nic wyproszą...

Niedaleko wejścia usadowili się muzykanci. Byli to przeważnie murzyni. Gdy nas ujrzeli, zagrali na powitanie. Sądzili może, iżęśmy zaproszeni. Bili zawzięcie w bębny, grali na fujarkach i piszczałkach. Muzyka to była hałaśliwa, lecz wesoła i skoczna.

Wchodzimy sercem drżącym. Wtem zoczył nas jakiś otyły jegomość w białym burnusie, z czerwonym fezem na głowie. Był to zapewne gospodarz wesela. Pokłonił się nisko. Położył rękę na sercu i z powagą wyszeptał słowa powitalne:

- Allah ilshaf dek - Niech Bóg was ma w swojej opiece!

Zaczęliśmy się tłumaczyć. Przyjeżdżamy z dalekiej północy. Chcemy poznać arabski lud i obyczaj. Przeto wchodzimy tutaj, by się przypatrzyć tak wzniosłej uroczystości. Uprzejmy gospodarz zaczął się śmiać przyjaźnie. Wołał swym tubalnym głosem coś w rodzaju: - To nie przeszkadza, będzie nam przyjemnie... Poczym poprowadził nas do ławy i kazał spocząć. Wnet też skinął na usługujących. Przyniesiono czarnej kawy. Podano nam maleńkie, białe filiżaneczki, a w nich kawę czarną, gęstą, przeraźliwie mocną. Trzeba było pić, by nie obrazić gospodarza. Przyniesiono fajki. Za nie jednakże podziękowaliśmy. Trudno byłoby nam się z niemi obchodzić...

Dodaję, że Arabowie są zazwyczaj chciwi. Europejczyka umieją wyzyskać i oszukać. Wobec swych gości są jednak nadzwyczaj uprzejmi i uczynni. Napływali coraz to nowi goście. Naturalnie sami mężczyźni. Kobieta nie bierze udziału w żadnych uroczystościach domowych czy publicznych. Wszak na Wschodzie mężczyzna wszechwładny pan. Ubrani byli w odświętne szaty, w długie, kolorowe suknie, a na głowach mieli turbany lub czerwone fezy. Muzyka witała ich przy wejściu tak jak u nas. Poczym się witali pomiędzy sobą. Młodzi całowali starszych w rękę. Przyjaciele całowali się w oba policzki. Wszedł też jakiś poważny marabut. Całowano go w ramię i poły burnusa. On zaś dotykał dłonią chylących się przed nim głów - na znak błogosławieństwa.

Miejsca tu dużo wszak wesele odbywa się w małej, wąskiej uliczce. Pod ścianami domów ustawione są ławki i kanapki. Nad nami płoną lampy. Ściany domów lśnią się orgią świateł, mienia się setkami kwiatów i kobierców.

Przysuwam się bliżej do mojego sąsiada po prawicy. Ma piękną, natchnioną twarz i czarną, wielka brodę. Oczy ma żywe, płomienne. Przyznaję mu się, iż po raz pierwszy jestem na takim weselu. [*s. 50*] A że nie znam zwyczajów - przeto go proszę o wyjaśnienie.

- A skąd ty jesteś? - pyta, mierząc mnie badawczym swym wzrokiem.

- Jestem z Polski - odpowiadam trochę zmieszany.

- Co to jest Polska? - pyta mnie dalej, kiwając głową.

- To wielki i bogaty kraj - mówię mu - położony między Niemcami a Rosją.

- Nic jeszcze o tym kraju nie słyszałem, ale zapewne macie obyczaje, jak są we Francji i Anglii?

- Tak - odparłem - podobne!

- To słuchaj, a słuchaj dobrze, iżbyś dobrze opowiedział w swoim kraju, jak się u nas odbywa wesele.

- Jest to wesele Hadima, syna Hadara. Hadimowi już było czas, bo skończył siedemnaście lat, a i pieniędzy uzbierał sobie sporo - ciągnął mój sąsiad po prawicy. Więc wysłał Chatbę - stręczarkę, by mu szukała żony. Chatbe poszukała. Lalla Ajuna ma lat piętnaście i jest córką skórnika. Poszedł więc Hadim do ojca Lalla Ajuny i ugodził się z nim co do ceny za córkę. Czterdzieści funtów egipskich (2 tysiące złotych) zapłacił ojcu Hadim. To nie dużo. Wszak płacą o wiele więcej. Przywołali świadków i w księgach biegłego Fikiha. Potem spisali kontrakt ślubny. Następnie wspólnie już tylko ustalili dzień wesela.

Wczoraj była Lalla Ajuna w łaźni miejskiej wraz z druhnami. Był to wstęp do ślubu. Wesoło tam było, oj, wesoło. Panna się kąpała, a druhny jej śpiewały pieśni wesela. Potem zabawiały się wspólnie. Piły kawę i słuchały muzyki. Przygrywały im murzynki na kobzie - raicie.

Dziś rano odbył się właściwy akt ślubny. Lalla Ajuna pożegnała się z rodzicami. Potem zaczęła się ubierać. Wdziała na siebie trzy suknie według zwyczaju. Wybieliła i wyróżowiła sobie lica i ręce, podkrążyła i wydłużyła sobie oczy. Wytatuowano jej znaczki na policzkach i brodzie. Na ręce i nogi zaś bransoletę włożyła złotą - podarek Hadima, - a na głowę ślubną koronkę. Twarz zaś pokryła czerwoną zasłoną. I ruszył orszak ślubny do domu Hadima. Jechała Laila Ajuna w wynajętym powozie wraz z druhnami. Na przedzie kroczyły wielbłądy w złocistych czaprakach. Niosły na grzbietach wyprawę Lalla Ajuny.

Następowali grajkowie. Uderzali w bębny, grali na kuistra - mandolinach, na derbuka, guellali - trąbach i guesba - długich fletach. Potem kroczyli wynajęci śpiewacy. Śpiewali pieśni pochwalne na cześć nowożeńców. Wychwalali męstwo i odwagę Hadima, cnoty i zalety Lalla Ajuny. Po bokach rzucano petardy - i zapalano ognie bengalskie - niebieskie, czerwone. W tak uroczystym pochodzie przeprowadzono Lalla Ajunę do domu Hadima - dziś rano.

- Widzisz tam te okna u góry?

- Tak, widzę! - odparłem - całe są zakratowane.

- Tak, to jest harem Hadima. Tam teraz siedzi Lalla Ajuana nieruchoma na krześle i czeka... Nie wolno jej mówić, ani płakać, ani się śmiać. Byłby to bowiem zły dla niej znak. Tylko druhny jej śpiewają stare piosenki weselne.

Istotnie raz po raz dochodziły nas stamtąd jakieś piskliwe trele...

- To „zararit" pieśń jej ślubna, tłumaczył mi mój sąsiad. Naraz wśród gości zrobił się ruch. Wszyscy powstali. Murzyni grali, że aż bębenki w uszach drżały. Wszystkich oczy zwrócone były na rosłego młodzieńca. Był poważny i zamyślony. Ubrany był w burnus ciemny z czerwoną czaciją, okręconą białym turbanem. Na nogach miał pantofle czerwone.

- Kto to jest ten młodzieniec? - pytam.

- To Hadim, pan młody - odpowiada mi z czcią mój sąsiad. Wrócił właśnie z świątyni. Modlił się tam długo do Boga - Allaha, iżby mu szczęście dał w życiu małżeńskim i błogosławieństwo swoje.

- Czemu on taki smutny? Patrz, żaden muskuł nie drga mu w twarzy, oczy ma nieruchome, usta [*s. 51*] skamieniałe. U nas w Polsce pan młody jest zazwyczaj szczęśliwy, a usta i oblicze jego promienieją weselem.

- To ci wytłumaczę - uśmiechnął się spokojnie arabski towarzysz mój. Hadim jest smutny, bo nie wie, kogo pojął za żonę. Nigdy on Lalla Ajuny nie widział. Z daleka ją ujrzał może kiedyś, ale nigdy nie widział jej twarzy. Zawsze była zakryta grubą tkaniną. Nigdy też jeszcze nie słyszał jej głosu - to według prawa nie wolno.

Dziś dopiero o północy wejdzie Hadim do haremu i stanie przed Lalla Ajuną. Drżącym głosem wyrzeknie do niej słowa:

- Jam maż twój, Lalla Ajuno! Ona zaś mu odpowie:

- In cza Allah - Niechaj będzie wola Boża.

Potem zerwie z jej twarzy haik - zasłonę i ujrzy po raz pierwszy w życiu oblubienicę. Kogo on zobaczy? Czy dziewczynę zdrową i miłą o wejrzeniu kojącym, łagodnym? A może twarz mu się odsłoni szpetna - pełna grymasu - z oczyma fałszywymi...

Jeśli będzie zadowolony, to krzyknie z radości, a krzyk ten usłyszą goście i weselić się będą wespół z nim. I powstaną i bawić się będą długo - bardzo długo. Jeśli zaś tylko westchnie, lub zamilknie zupełnie, to znak, że Hadima oszukał ojciec Lalla Ajuny. W smutku odejdą goście do domów swych.

Rozpoczęła się uczta weselna. Ponieważ gości było sporo, zapraszano do stołu „partiami". Patrzałem przez okno do jadalni. Goście siadali na ziemi lub na poduszkach, podwinąwszy nogi pod siebie. Wniesiono niziuteńkie stoliki. Teraz każdy otrzymał kawałek chleba i łyżkę. Na pierwsze danie przynieśli usługujący wielką glinianą misę, pełną kurcząt pieczonych, niepokrojonych.

Dookoła misy powstał ścisk. Kilkadziesiąt rąk rozrywało kurczęta palcami... Widelców nie znają. Potem przyniesiono ogromną misę z baraniną i migdałami. Mięso było pokrajane w spore kawały, które pływały w jakimś białawym sosie. Kawały te wyławiano rękami lub chlebem. Do tego pito najprawdziwszego w świecie szampana - czystą wodę z Nilu. Wszak Arabom ani wina ani wódki pić nie wolno. Następowały po kolei inne jeszcze potrawy, których bliżej określić nie umiem. Wszystko było widocznie smaczne i tłuste, bo gościom świeciły się brody - a i palce oblizywano z zadowoleniem...

Było już dosyć późno. Pożegnaliśmy się więc z Hadimem.

- Allah iaunek - Niech Bóg ci błogosławi! - mówiliśmy mu przy odejściu.

- In cza Allah - niechaj się stanie wola Boża! - odrzekł smutny i zdenerwowany.

Muzykanci nam zagrali. Daliśmy im trochę monety. Schowali piastry, a grali i grali...

W końcu pożegnaliśmy się jeszcze z gospodarzem wesela. Emczi bes slana - zostańcie w spokoju - mówię mu i dziękuje za przyjęcie.

Wracamy na Bab el Louk, do naszych kwater u SS. Boromeuszek. Wracamy zadowoleni. Wszak na arabskim weselu byliśmy pierwszy i ostatni raz pewnie w życiu. Było to 31 lipca r. 1927, a był to dzień moich imienin...

X. Posadzy [*s. 52*]